Tom XVII. Nr. 3.

21. lipca 1867.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stanisław Skiba.

II.

Stanisław jest pożytecznym gromadzie.

(Dokończenie.)

W jesieni stał już na tem miejscu gdzie dawniej była chata, ładny biały domek z osobną stodołą i stajnią, w domku mieszkali już rodzice Stanisława Skiby, który pojechał do miasta po swą żonę i dzieci — i razem z rzeczami przywiózł je do Dąbrowy. Zona Stanisława pomimo że była kobieta miastowa, cieszyła się domkiem i gospodarstwem a rodziców męża kochała i szanowała — staruszkowie nie posiadali się ze szczęścia i codzień chodzili do kościoła dziękować Bogu za takiego syna, synowę i wnuków, prosząc o zdrowie dla nich.

Stanisław nie dał już pracować staremu ojcu — trzymał parobków, którzy w polu robili, a sam chodził, doglądał, i robił ulepszenia w gospodarstwie, na co się sąsiedzi mocno dziwowali, ale widząc, że to na dobre wychodzi, zaczęli go naśladować. Czasami zaglądał do sąsiadów i jeżeli który był chory, to mu zaraz radził, lub też jechał gdzie dalej do chorego gdy był wezwany, w wolnych zaś chwilach czytał lub pisał.

Z początku włościanie uważali go za pana, ale Stanisław kazał sobie zrobić z takiego samego sukna jak oni nosili siermięgę i żądał by go uważali jako sąsiada równego sobie — i z czasem zjednał sobie nietylko w Dąbrowie ale i w okolicy szacunek i zaufanie. I w każdej ważniejszej sprawie przychodzili do niego po radę, którą każdemu według sumienia i rozumu udzielał.

Raz nawet odciągnął gromadę od długiego a niepożytecznego procesu. Było to tak: Jeden wysłużony żołnierz, który także miał chatę i rolę, ale któremu nie chciało się pracować i po większej części przesiadywał tylko w karczmie, zwołał starszyznę i innych gospodarzy i namówił że mu złożyli sporo pieniędzy obiecując im że wyprocesuje od dziedzica lasy i pastwiska — i już miał iść do miasta i rozpocząć proces — ale jeden z gospodarzy zwrócił uwagę, by pójść jeszcze zaradzić się Stanisława Skiby, który jest uczonym i rozumnym człowiekiem, na co się wszyscy zgodzili. Gdy przyszli do niego i powiedzieli mu w jakiej sprawie przychodzą, zaprosił ich do osobnego pokoju i prosił by usiedli koło stołu — i sam usiadł obok nich, dziękując im że mają do niego zaufanie.

— Moi kochani sąsiedzi — mówił Stanisław Skiba — więc doprawdy myślicie o procesie?

— Tak jest — odpowiedział Szymon Świerk, ów wysłużony żołnierz — już mam na to pieniądze i idę do miasta.

— Zkądże wzięliście pieniędzy? — pytał Stanisław Skiba.

— Złożyliśmy każdy po trochu — odpowiedział wójt.

— Czy mówiliście już o tem z dziedzicem? — pytał dalej Stanisław.

— Nie — odpowiedzieli włościanie.

— To źle — mówił Stanisław — bo chcąc skarzyć kogo, to trzeba z nim pomówić, możeby się co dało wskórać bez procesu.

— Gdzieby tam pan na to przystali — odpowiedział wójt.

— Teraz jeszcze to — mówił Skiba — rozpoczynając proces trzeba być pewnym o słuszności swej sprawy, by na darmo pieniędzy nie wyrzucać, czy wy tego jesteście pewni?

— O pewni! — zawołał Szymon Świerk.

— Któż was zapewnił? — pytał Skiba.

— Jeden pan w miasteczku, co pisuje takie skargi i jest także w urzędzie, nazywa się Diebcejg, on też będzie i nam proces prowadził — mówił Szymon Świerk — a zresztą i prosty rozum ukazuje że nie sposób by takie ogromne lasy i pastwiska były własnością tylko panów od dawien dawna, i jak mi mówił ten pan Diebcejg, to dawniej, ale to bardzo dawno, nie było panów tylko sami chłopi.

— Przyszliśmy do was Stanisławie z prośbą o radę — mówił wójt — bo wiemy że mamy z was sąsiada rozumnego i uczonego, co nam nejlepiej poradzi i objaśni jak tam dawniej było, bo w książkach musi być o tem napisano — i spojrzał na szafę z szklannemi drzwiami, w której było pełno książek.

— Moi kochani sąsiedzi — mówił Stanisław Skiba — najprzód was zapewniam że nie trzymam za dziedzicem, nawet go jeszcze nie znam, bo odkąd tu mieszkam to go jeszcze we wsi nie było. Gdyby się dało wyprocesować, to i ja jako włościanin, wasz sąsiad i równy wam, skorzystałbym z tego, a od przybytku głowa nie boli, jak to mówią, ale przedewszystkiem jestem za słusznością. Rzecz się tak ma:

Obecni zaczęli słuchać z uwagą, Stanisław Skiba wyjąwswy kilka książek ze szafy, położył na stole i mówił:

— Dawno, ale to bardzo dawno, gdy jeszcze narody nie miały ustalonej siedziby, tylko z miejsca na miejsce się przenosiły, gdzie było im lepiej i wygodniej, nie było jeszcze domów takich jak dziś mamy, tylko robiono szałasy; nie był też nikt właścicielem ziemi ani lasów, bo ludzi było mało a ziemia wielka i dużo lasów, nie było też panów, ani królów, ani cesarzy, tylko w każdej rodzinie najstarszy wiekiem był przewodnikiem i sędzią, i jego też słuchali.

— A co nie słusznie mówiłem! — zawołał Szymon Świerk — a Stanisław Skiba mówił dalej:

— Później gdy narody obrały już sobie stałe siedziby, wszędzie stawiali domy i przestali się przenosić z jednego miejsca na drugie, i mieszkają dotychczas na tych miejscach Polacy, Rusini, Litwini i inne narody, gdzie ich przodkowie się usadowili. A gdy kilkanaście familji połączyło się w osadę czyli wioskę, pierwszeństwo i władza nad tą osadą nie była już

w ręku najstarszego wiekiem, tylko w jednym rodzie pozostawałe i z ojca na syna przechodziła. Ci zaś władcy obierali z pomiędzy siebie jednego, którego nazywali księciem, a później królem, ten rządził całym krajem a wszyscy go słuchali.

— Czy to w książkach jest napisano? — pytał się wójt.

— Tak jest — odpowiedział Skiba — i wskazał na książki które leżały na stole — to co mówię, to wyczytałem z tych książek.

— A czyby nie można temi książkami zaświadczyć w urzędzie, że lasy nietylko do panów należały — mówił Szymon Świerk — i że sami sobie przywłaszczyli?

— Zaraz lepiej wam objaśnię — mówił Stanisław Skiba — narody wówczas były jeszcze ciemne i dzikie, więc jedne napadały na drugie, niszczyły kraj, rabowały i zabierały ze sobą dobytek i ludzi w niewolę, trzeba się było bronić i prowadzić wojny. Na wojnę szli ci, co w osadzie mieli władzę i starszeństwo, za odznaczenie się dostawali od króla szlachectwo i czasem znak chorągwi do której należeli podczas wojny, brali za klejnot swego rodu — i gdy w pokoju rządzili w osadzie, podczas najazdu wroga szli pierwsi do obrony kraju, ci zaś co w domu zostawali uprawiali im rolę, siali, zbierali i kosili.

— To chłopi nie chodzili na wojnę? — pytał się wójt.

— Tylko z własnej woli, a później ich wynagradzano — odpowiedział Stanisław Skiba.

— A to dobrze było — mówił jeden z włościan — ale cóż to za narody były takie niedobre?

— Na Polskę i Ruś napadali Turcy, Moskale i Tatarzy, a na Litwę Moskale i Niemcy Krzyżacy. Trzeba ich było gromić i wypędzać z kraju, a takie napady zdarzaly się bardzo często i okropnie niszczyły kraj. Obawiano się ich więcej niż zarazy, bo gdy nieprzyjaciele napadli, to tak jak szarańcza: dziś tu niszczą i zabierają a jutro gdzieindziej. Ruś najwięcej wycierpiała od Tatarów. Najżyźniejsza ziemia i najlepsze urodzaje były na Podolu i Ukrainie, tak że ziemie te słynne z tego były, i mówiono, że miodem i mlekiem płynęły, a jak Tatar napadł to okropnie zniszczył, i gdzie były wsie zamożne

i miasteczka, pozostały po takim napadzie tylko pustki i zgliszcza; mężczyzn zabijano lub też zabierano z młodemi żonami lub dziewojami w niewolę i pędzono daleko, bardzo daleko, i już do swojej ziemi mało który mógł się wrócić. Tu już sami Rusini nie mogli się opędzić przed taką szarańczą rabusiów i Polacy musieli iść w pomoc, bo Tatarzy zaglądali coraz dalej i dalej.

— A to straszni musieli być ludzie — odezwał się przysiężny Sebastjan Marzec.

— Oj straszni — mówił dalej Stanisław Skiba — i źle było prowadzić z nimi wojnę, bo w jednej chwili rozbiegali się na swoich koniach, to znów się schodzili i dalej zabijali i niszczyli. W takiej wojnie mocno ucierpieli ci, co bronili cały kraj od napadu wrogów, a zaledwie odpędzili Tatara to napadał Moskal lub Turek i prawie nieustannie musieli toczyć wojnę, a ci co zostali w domu, pracowali w roli, by chleba nie brakło.

— Jakże się zaludniły później te kraje co Tatar wyniszczył? — pytał jeden włościanin.

— Jedni zdołali pochować się po lasach i jaskiniach przed Tatarem, a później powracali gdy go wypędzono — mówił Skiba.

— A czy ziemia co pozostała po zabranych dostała się im? — pytał Szymon Świerk.

— Ziemię dawał król tym, co znosili trudy wojenne i poświęcali swe życie w obronie całego kraju, i tak wodzowie dostawali na własność ogromne obszary ziemi, co mogły pomieścić kilkanaście lub kilkadziesiąt wsi, a żołnierze dostawali takie kawały ziemi jak nasza wieś, lub kilka takich. A ci nowi właściciele sprowadzali ludzi z dalekich okolic, dawali im kawałki gruntu, a ci za to odrabiali po kilka dni w tygodniu lub oddawali im lasy, gdzie osiedlali się ludzie i karczowali je na orne pola: ci byli uwalniani na lat kilkanaście lub kilkadziesiąt od robocizny, i odrabiali ją dopiero po upływie tego czasu.

— I to na wieczne czasy im darowywano te wielkie obszary? — pytał się wójt.

— Tak jest, na wieczne czasy i to dokumentami i prawami zawarowywano, a taka własność przechodziła z ojca na

dzieci, lub też jedni sprzedawali ją drugim, drudzy zaś trzecim i dziesiątym, i tak przechodziło z rąk do rąk aż do teraz, i jeden od drugiego kupował grunta z lasami i pastwiskami, jakie dzisiaj mają; rozważcie teraz dobrze czy to można wyprocesować, kiedy teraźniejszy dziedzic kupił od poprzedniego a poprzednik jego tak samo kupował.

Włościanie wahająco popatrzyli po sobie i na Stanisława Skibę.

— Gdybyście umieli czytać — mówił dalej Stanisław Skiba — tobyście się mogli sami przekonać o prawdzie słów moich z tych oto książek — i pokazał książki na stole i wskazał na szafę, w której było jeszcze więcej.

— Kiedy mię zapewniał pan Diebcejg — mówił Szymon Świerk — że to on wyprocesuje, a my będziemy mieć lasy i pastwiska.

Wierzę, że was zapewniał — mówił Stanisław Skiba — bo przytem ma swój zysk i każe wam płacić za to że napisze skargę; czy może z miłości dla was będzie to robił za darmo, co?

— Gdzieby za darmo robił — odpowiedział Szymon Swierk.

— A widzicie, że on to robi i namawia was dla swego zysku, bo gdyby była słuszna sprawa, to ja wam to za darmo zrobię, a teraz odradzam od procesu, bo tu wygrana niepewna i dużo pieniędzy kosztować będzie, a nim tłusty schudnie, to chudego diabli wezmą, nim wyprocesujecie dziedzica, to i pieniędzy wam nie starczy, za które kupilibyście sobie sporo lasu i pastwisk.

— Słusznie, bardzo słusznie — odpowiedział wójt — ja odstępuję od procesu — i zwrócił się do Szymona Świerka — oddajcie mi moje pieniądze, bo to sprawa niepewna.

Szymona Świerka to rozgniewało i ze złością mówił:

— Nie, ja nie odstępuję, idę do miasteczka i rozpoczynam proces, a pieniędzy nie oddaję — i wyszedł prędko.

— Czy on ma także jaki przy tem zysk? — pytał się Stanisław Skiba.

— Mamy mu obrabiać rolę i dług w karczmie za niego zapłacić — odpowiedział jeden włościanin.

— Gdybyście umieli czytać, to nie dalibyście się bałamucić lada komu, co ostatni grosz od was wyciąga — mówił Stanisław Skiba — a cóż zamyślacie teraz robić?

— My już odstępujemy od procesu — odpowiedzieli włościanie — jak chce Szymon niech się tam procesuje, tylko trudno będzie odebrać te pieniądze, które od nas wyłudził.

— Wiecie moi kochani sąsiedzi — mówił Stanisław Skiba — złóżmy się każdy, ja dam parę set reńskich i kupmy sobie kawał lasu i pastwiska od dziedzica, który ma wkrótce przyjechać do Dąbrowy, i najlepiej na tem wyjdziemy, bo jedno i drugie mieć będziemy a nie damy z siebie korzystać lada jakiemu wydrwigroszowi.

— Słusznie, bardzo słusznie — odpowiedzieli włościanie dziękując Stanisławowi Skibie za radę i poszli każdy ku domowi.

Pół roku nie spełna minęło a gromada Dąbrowy razem z Stanisławem Skibą zrobiła już ugodę kupna części lasu i pastwisk od dziedzica, płacąc jednę część należytości gotówką, a resztę ratami mają oddać, lub odrobić.

Józef z Medyki.

Pomoc niespodziewana.

Gdzie tylko ludzkie zdoła dojrzeć oko,
Wezbrane rzeki rozlały szeroko,
Zakryły pola, zniszczyły zagrody
I nic nie widać prócz nieba i wody.

A lud na brzegu załamując dłonie,
Modli się kornie, jęczy, we łzach tonie,
I czeka, rychło prąd szalonej fali
I ten brzeg także, jak inne, powali.

Straszny to widok! bałwany spienione
Niosą na grzbiecie domy rozwalone,
I sprzęt domowy i różne narzędzie,
Z szumem i hukiem rwiąc się w bystrym pędzie.

Aż oto płynie!... Hej! hej! czy widzicie?
Strzecha, a na niej pięcioletnie dziecię;
Dach trzeszczy, dziecię z lęku prawie kona!
Jeszcze do brzegu wyciąga ramiona...

I niby mówi, bo ustami rusza,
Ale huk fali głos jego zagłusza.

Widzi to z brzegu wieśniak jeden młody,
Odzież na sobie co żywo rozrywa:
Chcą go powstrzymać, on pędzi do wody,
I już go fala po szyję zakrywa.

Ne brzegu cisza, rzekłbyś tchu nie stało,
A co tam w sercach tych ludzi się działo,
Ci tylko wiedzą, co kiedyś widzieli
Stojąc na brzegu, jak drudzy tonęli.

On walczy, rwie się, lecz droga daleka,
A dach z dziecięciem wciąż dalej ucieka,
Aż mu nakoniec i sił już nie stanie,
I poszedł na dno... o! zlituj się Panie!

Wówczas przypadkiem, czyli też z przestrachu,
I owo dziecko zsunęło się z dachu.

Jak gdyby gromem rażona gromada
Czołem ku ziemi, na kolana pada
A kiedy znowu wzrok poszle ku fali,
Dziwne zjawisko obaczyli w dali.

Tam jakaś łódka rwiące pruje wody,
A w łódce młodzian anielskiej urody,
Srebrzysty promień wieńczy jego czoło
A boska wonność rozlała się w koło.

Wyskoczył z łódki i spuścił się na dno;
Obu tonących wyniósł ztamtąd snadno
I tchnął w nich życie; wiosło ujął w dłonie,
Szybko przerzyna niezgłębione tonie.

Już lud na brzegu — ocalonych wita,
Lecz gdzież jest zbawca? gdzie jest? ten, ów pyta;
Już jego łódka zmieniła się w chmurę,
A on w tej chmurze lekko sunie w górę.

Ślad jego drogi znaczy obłok tęczy...
Znikł — tam przed tronem pańskim pewnie klęczy.
I rzesza także pada na kolana,
Gorące modły zaseła do Pana:

— Ty co tonących masz w swojej obronie,
Aniołów po nich posełasz w wód tonie,
Zmiłuj się Panie nad Twym wiernym ludem,
i nas z powodzi ocal! ocal cudem!

Stanisław Krakowczyk.

Karczma w Malechowie.

Pół mili od Lwowa, przy gościńcu do Żółkwi, jest po prawej stronie wklęsłe bagno, wiecznie zgniłe i mokre nawet w suche lata; ze wszystkich stron w koło piękne pola urodzajne pochyło zniżają się ku niemu; zarosło jakiemś czarnem trawskiem i smutne siedzi i ciemne wśród niw wesołych. Wioska Malechów z kościołem i dworem i białemi chaty patrzy z dala, już bardzo wiele, wiele lat na to brzydkie bagnisko. Nieraz już chciano je osuszyć i ziemię spożytkować, ale nie dało się; kto jedzie gościncem pogląda i żegna się z westchnieniem. — Chłopkowie Malechowscy i sąsiedni wiedzą dobrze zkąd się wziął ten moczar tak niespodzianie wśród pól wzgórzystych, i jeden z nich opowiadał mi całą historję moczaru, bo i on ma swoją historję a smutną, jak nie jedno stare drzewo, nie jeden wzgórek, nie jedna figura, choć o niej ludzie nie wiedzą, albo dawno zapomnieli.

Dawno już, bardzo dawno, w miejscu gdzie dziś bagno, stała na równem wzgórzu karczma, a siedział w niej jakby dziś żyd rudy, i jakby dziś ssał krew z Malechowskich ludzi — borgując wódkę, gromadząc zastawy, pisząc podwójną kredką, podmawiając do ostatniej zguby i wyprawiając huczne muzyki co niedzieli i święta, aby ludzie tam gubili, co rano z nieba w kościele zyskali, aby poniewierali cnotę, rozum, pieniądz i życie. Otóż takie huczne muzyki słynęły w karczmie malechowskiej. — Młodzież wiejska zbiegała się hurmem, niejeden już przepił tam zdrowie i majątek, nie jedna przehulała swoją cnotę i swoją dolę, nie jeden już żałując po niewczasie przeklinał miejsce występku i pokusy. O wiele tam było przekleństwa nad tą karczmą. Były przekleństwa wdów, których mężowie zniszczywszy gospodarstwo i zdrowie, katowali je, ostatnią

niosąc koszulę — i pomarli w nędzy; były przekleństwa sierót, których matki zapomniały lub odumarły przez pijaństwo i swawolę; były przekleństwa rodziców, których dzieci zgubiły się, igrając za często w tej karczmie, a potem poszły w świat na gorsze jeszcze życie, albo płakały krwawemi łzami, albo się potopiły. Były przekleństwa pokrzywdzonych, okradzionych, bo procesa, bójki, kradzieże wychodziły z karczmy jak ze swego rodzinnego gniazda i sypały się na biedny lud. Tam na górze brzmiał nieraz głos staruszka kapłana tak groźnie i tkliwie razem że biedny lud płakał rzewnie; nie jeden nawet wyrzekł się karczmy, ale pokusa tam na dole ciągła jak żelazem i zły duch wojował z Aniołem niebieskim. — Wołał Bóg na lud swój przez usta kapłana, przez głos sumienia, przez rady dobrych ludzi, wołał czart na lud Boży przez usta żyda, przez zapach wódki, przez dźwięk muzyki — i gdzież lud szedł, i kogo słuchał? Ach — smutno, boleśnie powiedzieć...

Miara się jednak przebrała. Już zubożała połowa Malechowa, wyszła na pijaków i łotrów połowa młodzieży, na nierządnice połowa niewinnych dziewcząt, dzieci bawiły się w święto najmilej pod karczmą, czychały łakomo na krople wódki i słuchały z śmiechem wszetecznych słów i śpiewek, słowem pląsał z radości czart ohydny a płakali kryjąc oczy, Anieli tego ludu.

Było to w ostatki, miał nastąpić post i popielec; w karczmie aż wrzało od dymu, krzyku, śpiewów, hulanki i swywoli. Przepito, przehulano, i przebito niedzielę, poniedziałek; nadszedł wtorek ostatni — żyd sprowadził paradną muzykę, dolewał hojnie mocniejszej wódki, traktował grzecznie, dogadując że to ostatek, że to musi wystarczyć na długo, że czemuby sobie nie pozwolić na ostatni dzień, że cały świat dzisiaj bawi się i używa. — Ochota się rozszalała do upadłego ostatniej nocy, minęła północ, zapiały koguty, jak wtedy gdy się świat wyparł Chrystusa, ale ich za muzyką słychać nie było, dzień zaświtał biały, w kościele już na Mszę świętą dzwoniono, tysiące już głów w naszej pobożnej Polsce posypał popiół pokuty, a żyd zamknął okiennice, w karczmie tańczono na zabój i pito na umór. — Panie odpuść, taki zły duch przystąpił do ludzi że choć dzień widzieli wielki, hulali, krzyczeli i pili śmier-

telnie. — Południe dobiegało — dzień był smutny i pochmurny — musiało się niebo zamroczyć od grzechów na ziemi, w tem dziwna jakaś, niesłychana burza zagrała nad Malechowem. Kościół się sam zamknął z trzaskiem, taki wicher porwał drzwiami — jakby drzwi miłosierdzia zamknęły się dla ludu; wstrzęsła się wieś i jęczała przed gniewem Bożym, ciemno się zrobiło strasznie, zawyły wichry i grzmoty koło karczmy jeszcze huczniejsze jak wściekła muzyka, zatrzęsła się okropnie, zakołysała jak łódź na morzu, grom uderzył, błysło i pociemniało. Rozpadła się ziemia jak czeluście dokoła i z piekielnym rumem karczma zapadła się w przepaście z wszystkim ludem. I nic nie było, nic nie zostało; ucichło, zapłakało coś i popiół lekki posypał wielki dół zasunięty.

Niebiosa w ten straszny Popielec posypały grzeszników popiołem nie pokuty ale wiecznego zatracenia.

Nie było pogrzebu, nie było zawodu, nie było modlitwy ani nic świętego.

Na górze w kościele biały gołąb święty płakał modląc się w ciszy; parę sierót małych, kilkoro dobrych ludzi, tuliło się głucho do stóp ołtarzy i Wielki Post obchodzili.

Od tego dnia zgniły moczar niczem niezasypany, niczem niewysuszony, dusi się między wzgórzami ślicznemi; — a głos z góry woła do ludu Bożego: Ludu mój! zrzuć grzechy twoje abyś nie wpadł w otwarty grób bez pokuty! *B. F.*

Pustelnia w Cięszkowicach.

Muszę wam tu opowiedzieć o ładnej rzeczy, a o której zapewne jeszcze nie wiecie, a to o Pustelni w Cięszkowicach. To tak jest: Przed kilku latami przybyła do nas niejaka panna Meizner, z pod rządu pruskiego. — Panienka ta czując od młodości powołanie do zakonu, przyjechała do Galicji, po to aby w którym klasztorze zostać zakonnicą. Lecz gdy jej to dlatego, że nie miała żadnego majątku, trudno było, obmyśliła ona inny sposób, bodaj czy nie pożyteczniejszy służyć Panu Bogu. Oto przywdziawszy czarną szatę, jako siostry zakonnej,

ułożyła sobie chodzić jak szeroki kraj Galicji, po dobrych ludziach, aby uzbierać tyle, iżby w jakowem na to obranem miejscu, i za przyzwoloniem Rządu, wystawić taki domek, w którym by jak na pustyni, z dala od świata osiąść mogła, i wychowywać sieroty ludowe, które albo nie mają rodziców, albo też mają ale biedne zupełnie. Czyn ten pobożny i pożyteczny, pobłogosławił Pan Jezus, a ta pobożna panienka przez lat niespełna pięć, potrafiła sobie z jałmużny uzbierać tyle, że postawiła domek w Cięszkowicach pod lasem, w którym jedynie z jałmużny utrzymuje dziesięcioro sierotek wiejskich, lub miejskich dziewczątek, dając im jeść, odzienie, i ucząc czytać i pisać, a potem wszelakich robót, jakie kobietom w służbę idącym są potrzebne; jednem słowem wychowuje je na dobre, pracowite i zręczne sługi. Nie mogąc sama wszystkiemu dać rady, gdyż i tak co rok musi pójść na kwestę, przyjęła sobie drugą siostrę do pomocy, która w jej niebytności ma o domu i sierotach staranie.

Ma ona w tym swoim domku i ołtarzyk do pomodlenia się, i kiedyś może uzyska, że tam i Msza święta będzie niekiedy bywać. Ma i ogródek spory, gdzie dzieci na świeżem powietrzu, uczą się i tej pracy; i kiedyś jak jej Bóg poszczęści, a kraj pomoże jej swemi darami, to tam stanie taki pożyteczny dla kraju zakład, w którym sieroty znajdą przytułek, a z którego dobre i pracowite sługi, po całym kraju się rozejdą.

Widzicie, jak to Bóg błogosławi dobre zamysły, w których jest szczera, prawdziwa miłość bliźniego Jedna uboga niewiasta że poczęła z miłością Boga i bliźniego, co potrafiła — i wiele dobrego zrobi dla kraju! Róbcież więc wszystko moi kochani w imię miłości Boga i bliźniego, a wszystko pójdzie wam dobrze, i jakby cudem wasze sprawy na dobre rozwijać się będą. Zostańcie z Panem Jezusem. *Ludka z Myślenic.*

O chowie i dozorowaniu bydła.

Dobry gospodarz powinien dbać o bydełko swoje bo z niego, przy niewielkiem staraniu, może mieć wielki pożytek. Wszakże wół pracuje na ciebie przez całe życie, a jak go

zarzniesz, masz z niego mięso i skórę; krowa dostarcza ci mleka i cielęta rodzi, a przychowek możesz z zyskiem sprzedać na jarmarku. Dochodem z bydełka moglibyśmy nieraz zaratować się w potrzebie. Teraz czasy ciężkie, o grosz trudno, a wiele to tych groszy potrzeba, żeby jakoś wyżyć, podatek zapłacić, dziecku i żonie sprawić co im się należy. Owóż byłoby to dobrze i bardzo, gdyby gospodarz mógł mieć z bydełka swego jaki taki przychód, ale cóż, kiedy my bardzo mało dbamy o nasze bydełko, a przynajmniej nie tak, jakby należało.

Gdy krowa cielna, trzebaby jej podtykać jakie lepsze jadło, trzebaby się z nią trochę lepiej obchodzić, i pamiętać aby miała wygodę, a u nas kto tam o tem myśli? Byle sobie dogodzić, to i dosyć, a krówka biedna niech sobie żyje jak jej się podoba. Nie mówimy tu o tych, co sami jeść co nie mają, bo jakże taki, co sam wygody nie ma, mógłby ją dać bydlęciu, ale o gospodarzach zamożnych, którzy mogą, a tylko nie chcą.

Wielki to nierozum nie dbać o swoje bydlę, bo gospodarz co tak postępuje, samemu sobie źle czyni, a i grzech także odpłacać mu złem za dobre. Tymczasem krówka jak głodna idzie na paszę, tak i głodna powraca do stajni, a wygody jaka jej się należy rzadko kiedy zazna, czasem i nigdy przez całe życie. Czy więc można się spodziewać, aby krowa tak źle chowana, wydała krzepkie cielę, z któregoby gospodarz doczekał się kiedy, rosłego i silnego wołu? Gdzietam! Żebyśmy choć o cielętach pamiętali! Ale cóż? U nas ledwie cielę przyjdzie na świat, to je czemprędzej sprzedajemy rzeźnikowi, a jeżeli je mamy chować, to mu żałujemy tej trochy mleka, które z matki wyssie. Cóż to za bydlę wyrośnie z cielęcia tak chowanego i jakiego pożytku możemy się z niego spodziewać?

A czyimże to rękom powierzamy bydełko nasze gdy idzie w pole na paszę, aby się tam pożywnemi ziółkami pokrzepiło? czy zapobiegamy aby przez ten czas, pilnie było strzeżone od wszelkiego wypadku? Gdzietam! W jednem miejscu zajmują się tem starcy i kaleki niedołężne, które już żadnym innym sposobem na kawałek chleba sobie zarobić nie mogą; gdzieindziej zaś dzieci pustaki. I to źle i to nie dobrze, bo ani starcy niedołężni ani dzieci bydła jak się należy nie dopilnują,

jak to o tem wszyscy wiemy dobrze z doświadczenia, a kto nie wie, niech idzie gdziekolwiek na pastwisko i niech się z boku dobrze przypatrzy co się to tam z bydłem dzieje.

Taki staruszek co się całe życie napracował, i teraz potrzebuje spoczynku, albo kaleka, co się ruszać nie może, najęty do paszenia bydła, o tem tylko myśli aby się spokojnie wyleżał i wyspał, a potem wziął swoją zapłatę; a co jego tam cudze bydło obchodzi? Dziecko, zwyczajnie jak dziecko, jemu figle i pustactwa w głowie, toż o to mu tylko idzie, aby mogło swobodnie zbytki wyprawiać. Dobrze mu z tem że w polu nikt na niego nie patrzy, że tam może broić jak mu się podoba, toż chętnie idzie niby paść bydło, a w rzeczy samej tylko po to aby dokazywać i próżnować. Zaślepieni w dzieciach swoich rodzice może mi nie uwierzą; ja się temu nie dziwię, bo kto kogo miłuje, wad jego nie czuje, ale każdy mi przyzna że z takiego paszenia bydła, jak się ono u nas odbywa, wynikają rozliczne szkody dla gospodarzy. Tu wół wlazł w szkodę, w sąsiedzkie albo pańskie pole, sąsiad albo pan obaczył, kazał go zająć, ztąd kłótnie, przekleństwa i obraza Pana Boga, a często i koszta. Gdzieindziej znowu bydłe najadło się koniczu, wzdęło je i padło. Wie każdy, że takie wypadki nie z czego innego pochodzą jeno z niedozoru; pastuch zdrzemał się albo o czem innem myślał, ot i nieszczęście gotowe. Prawda, że takie wypadki nie codzień się zdarzają, ale i to prawda, że bydełko bardzo często powraca z paszy głodne, a nieraz z poobijanemi bokami. O bo też pastuszkowie nasi nie żałują batoga, a jak który nie ma batoga pod ręką, to kamieniami rzuca.

Dlatego też zdaje nam się, że należałoby powierzać chudobę w inne pewniejsze ręce. Starcom i kalekom niech gromada za darmo daje jałmużnę i jakie opatrzenie, niech ich nie przymusza do tego, do czego oni nie są już zdatni; dzieci zamiast czas marnotrawić przy paszeniu bydła na zbytkach i próżniactwie, niech idą do szkoły, gdzie się nauczą żyć uczciwie i Pana Boga chwalić. Do chudoby najmijmy sobie człowieka ze statkiem i poczciwością, i zapłaćmy mu dobrze, aby sobie nie krzywdował i sumiennie swój obowiązek wypełniał — a jeżeli wszystko bydło gromadzkie pasie się razem, na jednem pastwisku,

wtedy kilku pastuchów przyjmijmy, bo jeden nie da sobie rady i bydła nie upilnuje, tak samo jak dziecko, albo kaleka.

Gdy u nas taki zwyczaj nastanie, to starcy i kaleki będą nam błogosławić i modlić się za nas, i wyproszą nam łaskę u Pana Boga, dzieci wyrosną na rozumnych i cnotliwych, a pracowitych gospodarzy, a bydełko nasze odżyje pod okiem dobrego pasterza i sowicie nam się wypłaci za trochę większe koszta, które na nie wyłożymy.

Aby bydło było piękne i zdrowe, powinno mieć dobrą paszę, czystą wodę za napój i ochędóstwo w stajni. Siano musi być słodkie, czyste, zdrowe. Pasza z koniczu czerwonego lub białego, skoszona przed okwitnięciem i dobrze wysuszona, lepsza jest jak siano, a wyka tak sucha jak zielona wyborną jest paszą dla bydła; polewanie paszy wodą słoną zaostrza w bydlęciu ochotę do jadła, więc kogo tylko stać na to, niech nie żałuje kilka groszy na sól, bo bydlę, co więcej i lepiej je, zdrowsze jest i silniejsze. W lecie i w jesieni dobrze jest bydło pławić i polewać często zimną wodą, ale trzeba przytem uważać, aby nie szło do wody zgrzane i spocone; pasterz powinien baczyć aby podczas wielkich upałów, w godzinach południowych, bydło nie piekło się na słońcu, lecz je powinien spędzić w miejsce zacienione. Pastwisko powinno być podzielone na części, aby jedna mogła zarastać, podczas gdy bydło będzie się pasło na drugiej — a nie trzeba paść bydła na moczarach ani w ich pobliżu, bo to bydłu szkodzi. Przy każdem przejściu z paszy suchej do zielonej, trzeba się strzedz aby bydłu nie dawać jadła za wiele lub za mało. Gdy bydło na wiosnę zaczyna wychodzić w pole, zapada często na febrę, którą ludzie nazywają trawną febrą. Na tę chorobę najlepsze jest lekarstwo wymywać bydlęciu nozdrza i zaropione oczy spirytusem kamforowym i ciepłą wodą. Tego spirytusu dostanie w każdej aptece, więc dobrze jest mieć go z wiosną w domu przynajmniej odrobinę, aby bydełko jeżeli potrzeba zaratować.

Największą klęską dla gospodarza, piękne bydełko mającego, jest zaraza. Trzeba się bardzo pilnie strzedz od tego nieszczęścia, bo jak zachoruje, to już trudny ratunek. A kiedy dzisiaj tyle o bydle mówimy, to muszę wam także powiedzieć,

jak też to prosty i łatwy środek wynalazł jeden dobry gospodarz aby bydło ochronić od zarazy. Owóż przekonał się on że bydła nic tak nie zachowuje od zarazy jak czosnek. Radzi on tak, że skoro gdzie, broń Boże, wybuchnie zaraza, trzeba wziąść kilka listków czosnku, utłuc z kawałkiem chleba, albo z jabłkiem i zadawać bydłu codziennie, na czczo. Na jednym folwarku, gdzie już próbowano zadawać czosnek chudobie, ani jedno bydlę nie zachorowało, chociaż zaraza była naokoło.

RÓŻNOŚCI.

Sztuczne członki. W tej części ziemi co się nazywa Ameryką są ludzie ogromnie przemyślni co z wszystkiego korzystać umieją, byle zarobić, a każden zarobek ma to do siebie, że i temu jest pożyteczny co go bierze, i temu co go daje, ztąd w Ameryce wszystkim się dobrze dzieje. Była tam przez kilka lat wielka wojna, która się dopiero przed dwoma laty skończyła Po tej wojnie błąkało się po kraju wielu inwalidów do pracy niezdatnych, bo bez rąk, albo nóg. Ale znaleźli się zaraz ludzie przemyślni, którzy wzięli ich w opiekę, i poprzyprawiali im, oczywiście nie za darmo sztuczne ręce i nogi. Te sztuczne członki amerykańskie a osobliwie nogi, wyglądają całkiem jak prawdziwe, tak że poznać nie można kto ma swoje własne, a kto przyprawione. W jednem mieście dwóch inwalidów, mających nogi od kolan przyprawione założyło się, który dłużej i prędzej potrafi biegnąć. Wybrali sobie czas i miejsce, i dalejże pędzić gościńcem, ten prędko, a ten jeszcze prędzej. Mnóstwo ludzi przypatrywało się temu i wierzyć nie chcieli aby w tem nie było jakiego oszukaństwa, aż jeden z tych inwalidów usiadł na trawie, poodpinał sobie nogi i przekonał niedowiarków. — W tej tam Ameryce nie uświadczy już nigdzie ani jednego kaleki wyciągającego rękę po jałmużnę. Inwalida na stucznych nogach pracuje tak dobrze jak ten co ma własne nogi, a skoro może pracować i zarabiać, nie potrzebuje żebrać.

Robaczek robiący żelazo. Wszystkim wiadomo że jedwab z którego robią wstążki, przędą gąsienice, ale teraz odkrył jeden uczony Szwed, że są takie owady, co robią żelazo. Są to robaczki takie maleńkie że ledwo je okiem dojrzeć można, żyją w głębi lasów w kraju szwedzkim, gromadami tak jak mrówki, tylko że ich gromady są bardzo, bardzo wielkie. Owóż te robaczki snują z siebie cieniuteńkie nitki żelazne, i oprzędzają się niemi, jak jedwabniki jedwabiem. Pokłady tego żelaza, przez robaczki zrobionego, znaleść można często po lasach w kraju szwedzkim; mają nieraz po sto łokci długości, a ćwierć łokcia i więcej grubości.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.